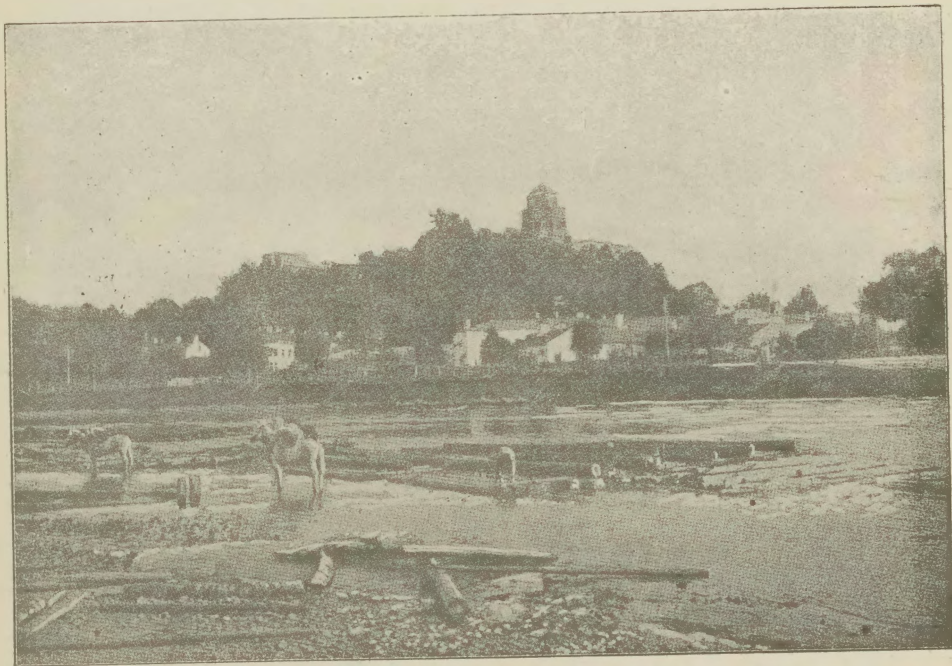


Wieczory Rodzinne

Nr 47

DZIAŁ DLA DZIECI

22 listopada 1913 roku.



ZWALISKA ZAMKU GIEDYMINA W WILNIE.

Kiedy Giedymin, książę litewski, polował nad brzegami rzeki Wilji, zaskoczyła go w boru noc. Książę, przyzwyczajony do niewygód, nie troszczył się o to i zasnął pod drzewem na jednym z pagórków.

Rano zwołał całą swoją drużynę i opowiedział sen, jaki miał w nocy.

— Śnił mi się — mówił, ogromny żelazny wilk, stojący

na tym wzgórku, a był on donośnie jakby setki wilków w nim były schowane.

Rozmańcie tłumaczyli dworzanie księcia Giedymina sen dziwny, aż pewien kapłan pogański powiedział, że wilk żelazny oznacza zamek obronny więc książę powinien wznieść na owym miejscu twierdzę.

Książę Giedymín usłuchał rady i wybudował zamek, którego ruiny dotychczas oglądać można na górze zamkowej w Wilnie.

Kłopoty Wiernusia.

Ładny, kudłaty pies Wiernuś zamieszkiwał wygodną budę wysłaną słomą w której miał legowisko, przed samem wejściem stawiano mu zawsze miskę z jedzeniem. Wiernuś wyjadł ze smakiem kaszę i zupę, a kości zabierał w głąb budy aby niemi następnie się raczyć.

Zauważyły to myszy zgłodniałe, kot zawistny wystraszył je ze szpiżarni, więc nieboraczki zapragnęły choć ogryść kości należące do Wiernusia. Wsunęły się cichutko pod słomę i korzystając z chwili, drobnymi ząbkami uchwyciły się kości. Niedługo jednak Wiernuś spiący spokojnie, poruszył nozdrzami i otworzył senne ślepie.

— Co to za brzydkie stworzenia, — pomyślał wstrząsając się z obrzydzeniem i jeszcze tak śmiało objadają mi kości, jakby tu odpędzić taką zgraję głodną? Żałuję doprawdy, żem w ciągłej niezgodzie z kotem, on jeden mógłby mię wybawić z kłopotu.

— Ham! — szczeknął Wiernuś i myszy pochowały się wnet w słomę, lecz z budy nie ustąpiły. Sfrasowany pies wstał i wybiegł szybko z budy na podwórze, tam ujrzał nie-lubianego kota, jak za gospodynią skradał się do piwnicy.

— Ham! — szczeknął na niego łagodnie Wiernuś.

— Miau! — odpowiedział przeciągle kot, zamierzając uciec czemprowadziej przed nieprzyjacielem.

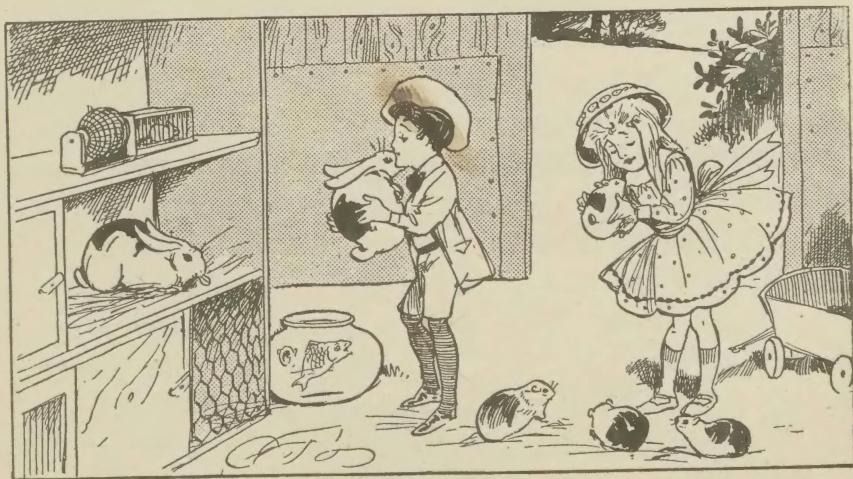
— Czekaj koteczku — szczeakał pojednawczo Wiernuś — nic ci złego nie uczynię nigdy, jeżeli mię wyratujesz z biedy, są u mnie w budzie myszy.

Na to słowo miauknął złowrogo kot, sierść na nim powstała do góry, ślipki zabłyśły jak węgielki i jak tygrys gotowy do ataku pomknął do budy Wiernusia. Powstał pisk żałosny wylekłych myszy złapanych na gorącym uczynku, po krótkim czasie kot tryumfująco kroczył przez podwórko, oblizując się po spożytej uczcie, myszy smaczną były pieczeni.

Uradowany Wiernuś machaniem ogona dziękował koto-
wi za oddaną sobie przysługę, a ten mu zamiauczał na to.

— Chociaż zbyt świeżym jesteś przyjacielem, bym miał ci wierzyć, że będziesz wciąż ze mną w zgodzie, jest to bowiem przeciwne naszej naturze, często jednak złe przygody zbliżają do siebie i wrogów, kto ma poczucie sprawiedliwości postąpi, jak mu wypadnie, broń mię przed złośliwymi psami, a ja cię obronię przed myszami.

Marja Romualda.



Gospodarstwo Kazia i Zosi.

Chleb powszedni.

d. c.

I teraz to dopiero ufność i cierpliwość Gila zostały wystawione na próbę. Łatwo śmiać się, gdy słońce świeci; ale, gdy nadchodzą burze, wtedy to poznać można niezłomność przekonań.

— Pozostało się jeszcze trochę jagód — rzekł wesoło, znajdując nieco owoców ostrokrzewu. Nasyciwszy się, wyśpiewał radosną i dziękczynną modlitwę pod mroźnem, zimowem niebem, i wreszcie schronił się pod bluszcz, szczęśliwy i zadowolony, jak dawniej.

Te straszne zawieruchy trwały jednak parę tygodni; czasami ustawały na krótko, aby ustąpić miejsące jeszcze większym opadom śniegowym. Oprócz Gila, było wiele innych ptaszków które przylatywały na ostrokrzew, a jagody znikwały z nadzwyczajną szybkością. Mimo to, Gil śpiewał ciągle. Codziennie, po każdym obiedzie, słyhać było z reguły dźwięczną, dziękczynną modlitwę. Inne ptaszki śmiały się nieraz z niego, ale te żarty wywierały na nim małe wrażenie. Uzbroił się w odwagę, cierpliwość i ufność, przeciw wszystkim przeszkodom które mogły przeciw niemu powstać, a kilka żartów nie mogło zamącić umysłu tak silnie przygotowanego do wesołego znoszenia przykrości.

— Obudzę ja jeszcze Żółwia — mawiał nieraz, gdy, po dziękczynnych modlitwach, skakał niedaleko nory jego, myśląc o wiosnie, która kiedyś nadejdzie, przynosząc ciepło, soczyste rośliny, owady i tysiące miłych niespodzianek.

Co to było za ciężkie zmartwienie dla naszego przyjaciela, gdy, po tych pięknych, dziennych marzeniach, obudził się pewnego pięknego poranka, czując się bardziej zziębniętym i skostniałym niż kiedykolwiek, i aby się ogrzać, był zmuszony schronić się pod liśćmi bluszczu.

Nadzwyczaj przykre mi w zimie są ciągle zmiany atmosferyczne. Długa, wielotygodniowa zawieja ustała wreszcie,

ustępując miejsca dniom pogodniejszym, które, mimo wilgoci i zimna obdarzyły ptaszka większą swobodą, i pozwoliły na zupełne zaspokojenie głodu. Gil był w możności myszkowania w trawie, i wyszukania kilka robaczków i ziarenek. Czuł się tą zmianą tak uradowany, że począł wierzyć, że zima już mija; radość jego z tego powodu była tak wielka, że, usiadłszy na drzewku, stojącego na straży mieszkania Żółwia, począł w śpiewie wypowiadać swoją wielką radość. Ale, najsroższa burza miała nadejść dopiero, burza rozczarowań i upadających nadziei.

O! ciemne chmury, czemuście tak ciężko wisiały nad ziemią, tuż przed Bożem Narodzeniem? O! piękne pola, czemuście się okryły białym całunem właśnie w chwili, gdy wszystkie żyjące istoty pragnęły weselić się? Możeście, mrozy przybyły na to, by wzbudzić te serca do litości i współczującej miłości, które pragnęły powitać Pana pieśnią radości? I któż w tej chwili nie przypomina sobie słów Zbawiciela, że, co czynicie najmniejszym z maluczkich, czynicie to waszemu Stworzycielowi. Z pewnością, wołają one do każdego, iż teraz nadchodzi pora do odziania nagich, na karmienia głodnych i pocieszenia nieszczęśliwych.

Śnieg padał coraz mocniej. Dwa dni z rzędu, Gil nie opuszczał dziury w murze, którą bluszcz szczelnie zakrywał. Na trzeci dzień jednak, głód wypędził go na ostrokrzew. Kłujące liście były pokryte śniegiem, a z jednej strony, nie było można dojrzeć pnia. Czy mu się wydawało, czy też naprawdę krzak się zmniejszył? Ptaszek nasz skakał z jednej gałęzi na drugą, dziobał liście i strącał z nich śnieg, ale daremnie: nigdzie, nigdzie, ale to nigdzie nie znalazł ani jednej jedynej jagody!

Jak gromadka w Zakrzewku wakacje spędziła.

c. d.

— Widzisz, Luciu, dziadek bardzo wiele przeszedł w życiu; brał udział w powstaniu w 63 roku, a potem był daleko stąd w Syberji, dużo przecierpiał, należy mu się odpoczynek, to też ciocia Hela bardzo troskliwie go doglądała.

— A czy czasami opowiada o swej przeszłości?

— O, prawie nigdy! Ciocia tylko wie o wszystkim, co przeszedł, bo widzisz, ciocię też spotkało nieszczęście: w czasie rozruchów został zabity jej mąż, a nasz stryj, czyś wiedziała o tem?

— Nie, ja wtedy byłam z mamusią zagranicą i bardzo jeszcze byłam malutka.

— Oh! — wykrzyknął chłopak z ogniem w oczach — gdybym ja wtedy był dorosły! Ale jeszcze nic straconego, i ja przecież jeszcze coś będę mógł zrobić dla kraju, ale ojciec mówi, że tymczasem powinienem się uczyć i nie myśleć o niczem innem, tylko o nauce. Ale można się uczyć i myśleć o ojczyźnie i o tem, aby być jej dobrym synem, prawda?

Lucia poważnie potaknęła mu głową.

— Karolu! Luciu! gdzie jesteście! -- wołał Jurek, biegnąc w różnych kierunkach ogrodu — chodźcie na obiad, jedziemy potem na pole!

— Tu jesteśmy — odkrzyknął Karol, co zresztą było zbyteczne, gdyż Jurek już ich odnalazł.

— Chodźcie prędzej — mówił szybko. — Jedziemy do Olszynki zobaczyć, jak zbierają siano, my zabieramy grabie, będziemy pomagali, ależ spieszcie się, bo już obiad, a wiedziałem, jak robiono leguminę z migdałów.

Karol i Lucia parsknęli śmiechem.

— To jednak już po dwunastej, jakżeśmy się też zagadali — zauważył Karol, gdy wrócili do domu.

Obiad odbył się szybko i dzieci pod przewodnictwem Karola udali się na pole. Lucia pozostała w domu i przyjmąwszy lekarstwo, spoczywała na kanapie. Pani Helena z panią Starską rozważały, czy nie lepiej byłoby pozostać z Lucią w Zakrzewku, gdzie dziewczynka do zupełnego zdrowia i władzy w osłabionych nóżkach powróci, czy też wyjechać.

— Nie mogę ci radzić — mówiła pani Helena — poczekaj tydzień i zapytaj następnie o zdanie lekarza, który leczył Lucię w Warszawie; same nie możemy decydować.

Pani Starska przyznała jej słuszość.

Tymczasem gromadka ze śpiewami powracała z pola. Grabie zarzucili na plecy i szli, wyprzedzając gromadkę chłopców i dziewcząt wiejskich. Franio przyniósł z pola wiązankę kwiatów polnych. Jurek pudełko, pełne różnych robaczków, motyli i chrabąszczów, a Janka kilka poziomek, które znalazła w krzakach na polu. Stach tylko szedł z pustymi rękami.

— Ja, choć nic nie przyniosłem, alem więcej pracował od tych mieszczuchów — mówił, wskazując na Jankę i Frania — bom ja gospodarz i wieśniak!

Pani Helena z uśmiechem odrzekła:

— Prosimy, prosimy pana gospodarza do stołu, pewnie zmęczony pracą i wygłodzony...

— Ja, cioteczko, zmęczony! — wyciągnął kułak przed siebie — jabym cioteczce jeszcze drzew narąbał, konie napoił...

— Krówki wydoił — dodał Franio.

Wszyscy się zaśmieli, a Stach zawstydzony trochę, odrzekł:

— No, no, nie zawstydzaj mię, poeto! On, ciociu, zamiast grabić, wsparł się na grabiach i rymy układał.

Teraz już i Franio zaczerwienił się i zaperzony chciał coś ostro odpowiedzieć Stachowi, ale pani Helena w porę

załagodziła spór, tłumacząc, że dobry i poeta w równej mierze może być pożyteczny krajowi.

III

W przeległym pokoju wybiła trzecia. Karol otworzył oczy, chwilę leżał bez ruchu, ale wnet zerwał się i cichutko, aby nie zbudzić śpiących chłopców, wyszedł boso z pokoju. Wieczorem jeszcze przygotował sobie w jadalni ubranie i strzelbę z nabojami, którą nieznacznie wsunął za piec. Ubrał się pospiesznie, wpakował naboje do kieszeni i ze strzelbą w rękę zmierzył ku wyjściu, otworzył powoli drzwi, ale tak skrzypnęły, że skamieniały z przestachu, czy kogoś nie obudził, stał minutę nieruchomo, poczem szybko zbiegł z ganku. Mimowoli wstrząsnął się z chłodu, ale wnet rażno ruszył naprzód.

Świtało; powietrze powoli z ciemno-szarego stawało się szarem, z szarego-jasnym, a gdy Karol skreślił za rzędem chałup wiejskich w boczną dróżkę, wiodącą do lasu, rozjaśniło się zupełnie.

Na wschodzie można już było zauważyć różowe pasemko, które się coraz rozszerzało, zajmowało coraz większą część nieba i powoli nabierało coraz mocniejszej barwy...

Lecz Karol nie miał czasu zachwycać się wschodem słońca. Było to jego pierwsze polowanie. Prześladowała go myśl: czy też coś upoluje, czy nie spudłuje, czy będzie mógł umiejętnie obejść się ze strzelbą.

d. c. n.

